



THINGS WE *Lost*

KAROLINA ZIELIŃSKA

editio
red

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Opieka redakcyjna: Barbara Lepionka

Redakcja: Dominika Bronk Polonistyczna Kruczata

Korekta: Dominika Radkowska

Projekt okładki: Justyna Sieprawska

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<http://editio.pl/user/opinie/thwelo>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-289-1675-3

Copyright © Helion S.A. 2025

Printed in Poland.

- [Kup książkę](#)
- [Poleć książkę](#)
- [Oceń książkę](#)

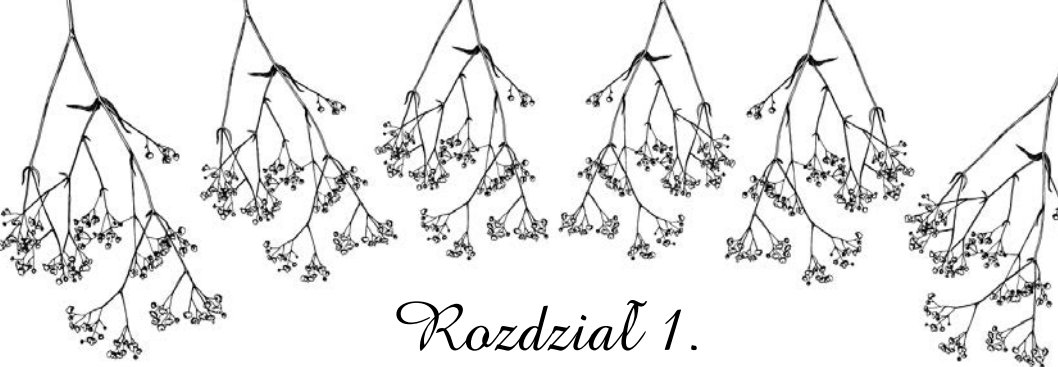
- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to! » Nasza społeczność](#)

Ostrzeżenie

Książka opowiada o sporej ilości wydarzeń mogących wywołać w Was dyskomfort lub niepokój. *Things We Lost* to historia, w której pojawią się alkoholizm i przemoc domowa. Ponadto znajdziecie tutaj również sceny stalkingu, próbę gwałtu, porwanie i manipulację.

Prolog

Miłość to skomplikowane uczucie, które podobnie jak drzazga wbija się głęboko pod skórę i drażni swoją obecnością. Niekiedy łatwo się jej pozbyć, a niekiedy zostawia po sobie ślad. Bliznę. Miłość potrafi podnieść człowieka z kolan lub doprowadzić go do upadku. Kontroluje umysł, obezwładnia serce. Jest dzika, porywcza. Niezrozumiała. Jest tym, czego pragnę i czego nienawidzę. To odwieczna walka, w której wszyscy stają się ofiarami.



Rozdział 1.

Summer

Wcześniej

Znów to samo. Mam ochotę się odwrócić i wykrzyczeć im prosto w twarz, co o nich sędzę, ale zanim znajduję słowa, moje oczy się wypełniają łzami. Nienawidzę ich. Nienawidzę ich bardziej niż budyniu śmietankowego i matematyki.

Dlaczego muszą za mną iść? To znaczy niby wiem, że ich domy znajdują się na tym samym osiedlu co mój, ale przecież istnieją jakieś inne drogi. Biorę głęboki wdech, zaciskam mocniej zęby. Nie chcę płakać, więc ścieram wilgoć z policzków i poprawiam swój różowy plecak. Wiem, co o mnie myślą. Sądzą, że jestem dziwna, bo nie umiem wielu rzeczy, ale dziadek zawsze mówił, że nie trzeba umieć wszystkiego, żeby być fajnym. *Serce. Najważniejsze jest serce.*

Pociągam nosem. Tęsknię za nim. To niesprawiedliwe, że umarł. Nikt nie powinien umierać. Śmierć jest głupia i zupełnie niepotrzebna. Przynosi jedynie ból. Unoszę dłoń i ściskam w palcach medalik w kształcie słońca. Dostałam go od mamy; miał mnie chronić przed złem. Wierzyła, że promienie słońca odgonią deszczowe chmury. Ja też w to wierzyłam. I wierzę. Kiedyś powiedziałam o tym swojej koleżance z ławki. Annie spojrzała na mnie jak na kogoś, komu przed chwilą wyrosły trzy głowy, i zachichotała, a potem mruknęła pod nosem: „Ale z ciebie dziwaczka, Summer”. Poczułam się, jakby ktoś wymierzył mi cios prosto w żołądek. Spodziewałam się czegoś innego. Annie wydawała się w porządku. No cóż, ci za mną na początku też nie dokuczali.

Nie rozumiem, dlaczego umiejętność jazdy na rowerze jest aż tak znacząca. Czemu nie mogliśmy spędzać czasu na malowaniu lub wycinaniu? To coś, w czym jestem całkiem dobra, a przynajmniej tak twierdzi moja babcia. To ona wprowadziła mnie w świat barw.

– Hej, Summer! – Spinam się, bo słyszę znajomy głos. Nie chcę, żeby mnie wołano. Potrzebuję tylko dojść bezpiecznie do domu, to wszystko.

– Summer! – dołącza następny.

– Nauczyłaś się w końcu jeździć na rowerze? – atakuje kolejny.

Mam pecha, że Rich i jego kumple mieszkają na tej samej ulicy i że trafiliśmy do tej samej klasy.

– Widziałem, jak jechała z doczepionymi bocznymi kółkami! – krzyczy Tommy.

Kulę się w sobie. Dlaczego ta droga tak się wlecze?

– Ale z ciebie ciama! – Rich szybko do mnie podbiega, rechocząc.

Nie wiem, co chce zrobić, ale jestem przerażona, bo jeszcze nigdy żaden chłopak nie znalazł się tak blisko. Czuję, jak chwyta mnie za ramię, a potem popycha na ścianę jakiegoś budynku. Strach ściska mnie za gardło, gdy Rich bez wahania zaczyna grzebać w moim plecaku.

– Mam! Mam! – Wymachuje trzymanym w dłoni niewielkim notysikiem. Wybałuszam oczy, tracę oddech. Tylko nie to. Tylko nie mój pamiętnik.

– Zostaw! To moje!

– Teraz poznamy wszystkie twoje sekrety! – śmieje się głośno Teddy. – Pewnie opisujesz tam same dziwne rzeczy, co?

– Oddajcie mi to! – Zaciskam dłonie w pięści.

To nie fair! To absolutnie nie jest fair, że wszystko, co złe, spotyka właśnie mnie! Drzę na całym ciele. Boję się, jestem zawstydzona, ale wiem, że nie mogę odpuścić. Muszę walczyć. Zaczynam wrzeszczeć. Mój ryk jest tak głośny, że prawie wędną mi uszy, a gardło pali żywym ogniem. Rich wytrzeszcza oczy, a potem uderza mnie z otwartej dłoni w policzek.

– Zamknij się, dziwaczko!

Ból przeszływa mnie na wskroś, czuję, jak moja skóra pulsuje od niespodziewanego uderzenia. Mrugam, odganiając łzy. Co się stało? Nie jestem w stanie pojąć, dlaczego podniesiono na mnie rękę. Wpatruję się w płonące pogardą oczy chłopaka, a z moich ust wydobywa się jedynie cichy pisk.

– No i co się gapisz?! – Tommy szarpie mnie za ramię.

– Hej! – rozlega się potężny, zupełnie obcy głos.

Nieznany chłopak w czarnej koszulce wydaje się sporo starszy od nas, ale to nie dlatego zastygam jak wosk. Przeraża mnie jego twarz. Jest podrapana i ma mnóstwo siniaków. Wygląda jak... potwór. Gapię się to na rówieśników, to na nieznajomego i marszczę brwi, starając się odnaleźć w tej okropnej sytuacji. W uszach wciąż dudni mi jego głos – nieco ochrypnięty i brzmiący inaczej. Właściwie do tej pory nie słyszałam, żeby ktokolwiek tak mówił.

– M-my tylko rozmawiamy – jąka się Teddy.

– Przepróś ją.

– Co?! – prycha Rich, a ja rozdziawiam usta ze zdumienia.

– Masz problemy ze słuchem? Przepróś ją. – Nieznajomy mruży swoje ciemne jak smoła oczy. – Twoi kumple również.

Patrzę jak zahipnotyzowana, gdy podchodzi do Teddy'ego i wyjmuję z jego rąk mój pamiętnik.

– Ale my nic nie zrobili... – Teddy sznurkuje usta, gdy nieznajomy piorunuje go wzrokiem. – No dobra, przepraszam.

– Głupie szczyle – mamrocze chłopak pod nosem.

Nie mogę oddychać. Patrzę na niego z zapartym tchem jak na postać z bajki. Jak się nazywała? Och, tak – *Piękna i Bestia*. Może i ja nie jestem piękna, ale on na pewno ma w sobie coś z bestii. Jego ciemnobrązowe, rozwichrzone włosy tworzą na głowie bałagan, ubrany jest na czarno. Zawstydzona, spuszczam wzrok i wbijam go w jego znoszone all stary.

– Wszystko w porządku? – pyta, kiedy zostajemy sami.

Rich, Teddy i Tommy ruszyli pędem przed siebie zaraz po tym, jak wybełkotali swoje beznadziejne przeprosiny. Policzek nadal boli mnie od uderzenia, a pamiętnik ma zniszczoną okładkę. Smucę się tak bardzo, że z moich oczu kapią łzy. Wrażliwość. Mam jej aż zbyt wiele. Przyciskam notes do serca i marzę o tym, by teleportować się do domu.

– Nie płacz – mówi mój wybawca, kołysząc się na piętach. – Łzy są dla słabych.

Unoszę na niego zapłakaną twarz i przypatruję się tym koszmarnym zadrapaniom na jego policzku. Może ma kota? Koty często drapią swoich właścicieli. Boże, nie wiem, co zrobić.

– Jak masz na imię? – Mama zawsze powtarzała, że nie można rozmawiać z obcymi, ale jeśli poznam jego imię, to wcale nie będziemy już nieznanymi sobie ludźmi, prawda?

– Po co ci moje imię?

– Eee – zawieszam się. – No, żebyśmy nie byli już obcymi. – To chyba logiczne?

– A może ja wolę być dla ciebie obcy? – uśmiecha się pod nosem. – Sorry, mała, ale przedstawiam się tylko dziewczynom w moim wieku lub starszym.

Co to niby ma znaczyć?

– Ile masz lat?

– Na pewno więcej niż ty.

– O ile więcej?

– Całą wieczność. – Znów parska. – Wracaj do domu na obiad, dzieciaku.

– Mam na imię Summer.

Chłopak przewraca oczami.

– Zaczynam żałować, że ci pomogłem.

– Jak ma na imię twój kot?

– Nie mam kota.

– Masz.

– Nie.

To skąd te zadrapania? Nic mi się nie klei.

– Skoro nie chcesz podać mi swojego imienia, to będę nazywała cię chmurką – stwierdzam w zamyśleniu. – Wiesz, dlaczego będziesz chmurką? Bo jesteś ponury i przypominasz mi te wszystkie szare wielkie chmurzyska, które się zbierają na niebie przed ulewą.

Jego usta drgają w ironicznym uśmiechu.

– Powinnaś już iść.

– Odprowadzisz mnie?

– Nie.

– A co, jeśli znów spotkam moich wrednych kolegów?

– Nie spotkasz.

– Skąd wiesz?

Wzrusza ramionami, a ja przyglądam się jego sińcom pod oczami z niepokojem. Kiedy tak się gapię, jego spojrzenie ciemnieje i staje się zimne. Nieprzystępne. Chyba nie lubi, kiedy się tak patrzę.

– Masz ogród? – Z jakiegoś powodu znów go zagaduję.

– Zawsze zadajesz tyle durnych pytań? Tak, mam ogród.

Dlaczego jego głos brzmi tak ponuro? *Bestia*. Na pewno ma tak na imię i dlatego nie chce mi powiedzieć. No bo kto chciałby się przyznać do takiego imienia, prawda?

– Ja też – uśmiecham się. – Jest wielki i rośnie w nim mnóstwo kwiatów. Lubisz kwiaty?

– Nienawidzę.

Krzywię się.

– A oczko wodne? Tata niedawno je zbudował. Pływają w nim złote rybki, które spełniają marzenia. Jeśli chcesz, możesz przyjść i poprosić o spełnienie swojego.

Bestia spogląda na mnie jak na kogoś, komu wyrosły trzy głowy.

– Nie wierzę w marzenia.

Co? To niemożliwe, przecież każdy wierzy w marzenia! Marzenia są super!

Ciekawi mnie, dlaczego jest takim ponurakiem, no i gdzie nauczył się tego dziwnego akcentu. Nikt w mojej rodzinie nie mówi tak jak on. Nawet w szkole nikt tak nie mówi. Może to jakaś wada wymowy? Chcę go o to zapytać, ale nie mam odwagi. Milczę. On też milczy. Czuję się dziwnie, ale to chyba *efekt bestii*. W końcu nie bez powodu ją tak nazywano.

– Idź do domu. – Chłopak mierzy mnie lodowatym spojrzeniem.

– Zawsze jesteś taki... chmurzasty?

– Wymyśliłaś to słowo.

– Wcale nie.

– Wcale tak.

Stoję przed nim, wciąż miętoląc w dłoniach pamiętnik.

– Nie powtarzaj po mnie – mruczę.

– Nie powtarzaj po mnie.

– Hej! To niegrzeczne!

– Może jestem niegrzeczny?

Bestia niespodziewanie zaczyna się śmiać, ale im dłużej wsłuchuję się w ten dźwięk, tym bardziej wyczuwam w nim coś złowieszczonego. Aż moje ramiona pokrywa gęsia skórka. Czy powinnam się go bać? Nie wiem. Może? Ale przecież mnie uratował! Nie może być aż tak groźny, prawda? Z drugiej strony nigdy nie słyszałam o łagodnych bestiach.

Kurczę.

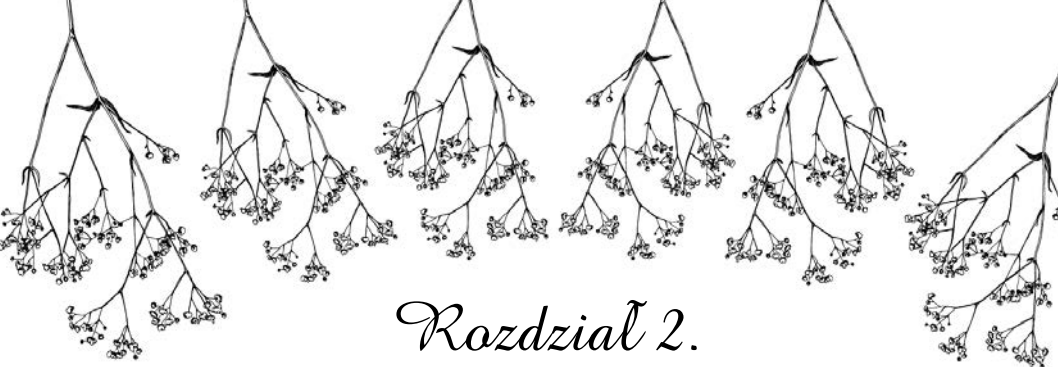
– Dlaczego masz siniaki na twarzy? – pytam, zanim umysł podsuwa mi, że popełniam błąd.

– Co cię to obchodzi?

– Wyglądasz strasznie.

– Przynajmniej nie muszę kupować stroju na pieprzone Halloween, nie? Zaklął! Powiedział to bardzo, bardzo złe słowo na „p”, którego nie można powtarzać, nawet jeśli się je gdzieś usłyszy.

Coś mi podpowiada, że bestia jest zła. Bardzo, bardzo zła. I mimo że mi pomógł, to chyba jednak powinnam się trzymać od niego z daleka.



Rozdział 2.

Hunter

Obecnie

Gdy taksówka podjeżdża, w pośpiechu otwieram drzwi i siadam na tylnej kanapie. Opuszczam głowę, żeby ukryć się przed rozwrzeszczanymi fankami, i przysmykam oczy. Jest szósta rano i jeszcze wczoraj byłem przekonany, że o tej porze uda mi się bez problemów wyjechać z Fairmount. Cóż, myliłem się.

– Żona nie uwierzy, jak jej powiem – słyszę podekscytowany głos kierowcy. Nie wiem, czy chcę z nim rozmawiać. Nie mam ochoty na bezsensowne strzępienie języka. Przyglądam się jego odbiciu w lusterku. Facet wygląda na jakieś czterdzieści pięć lat z hakiem. Denerwuje mnie jego kolorowa koszula i sposób, w jaki prowadzi auto. Zresztą jego samochód też mnie wkurza. Ma obrzydliwie czerwoną tapicerkę i siedzi się w nim jak w pudełku. Nie pamiętam, kiedy ostatnio jechałem w czymś tak beznadziejnym.

– Jest największą fanką – ciągnie kierowca.

Przyglądam się swojej czarnej koszuli i kładę dłonie na eleganckich spodniach w takim samym kolorze. Do diabła, po co to robię? Dlaczego się włokę w tym pudełku do miejsca, które wymazałem z pamięci?

– Gdzieś tutaj powinienem mieć nawet jeden z pańskich albumów. Wie pan, żona często ze mną jeździ.

Mrużę oczy.

Trzy, dwa, jeden...

– To może podpisać się pan?

Bingo. Zawsze to samo.

– Jak żona ma na imię? – pytam uprzejmie, choć w ogóle mnie to nie obchodzi.

– Jane. Dla kochanej Jane. Chciała wybrać się na koncert w Nowym Jorku, ale zabrakło wejściówek...

Kiwam głową, a kierowca wyjmując ze schowka płytę. Chwytam w dłoń swój album, który nagrałem przeszło trzy lata temu. Standardowe dziełko utworów trwających średnio po trzy minuty. Po chwili podaje mi też czarny mazak i ponownie prosi, żebym napisał coś miłego dla jego żony. A co, jeśli wcale nie mam ochoty na coś miłego? Jeśli nie potrafię dawać czegoś miłego? Gapię się w okładkę albumu, przywołuję na twarz fałszywie uprzejmy uśmiech, a potem piszę krótką dedykację i nazywam Jane kochaną. Dziękuję jej za to, że słucha mojej muzyki, i rysuję krzywe serduszko, które przez lata stało się moim znakiem rozpoznawczym. Oddaję płytę kierowcy, rozpieram się wygodnie w fotelu i milczę.

– Będzie zachwycona. W aplikacji zobaczyłem, że cel podróży to nasze Skaneateles.

Nadal milczę.

– Mówię „nasze”, bo często z żoną jeździmy tam nad jezioro. Lubi pan pływać? W połowie czerwca woda powinna być już całkiem ciepła.

Wciąż milczę.

– To najlepsze jezioro w okolicy. Czyste, rozległe. Po prostu wspaniałe. Wie pan, ja jestem zapalonym kajakarzem, więc znam się na rzeczy. Wiem, gdzie warto pojechać. Skaneateles to naprawdę dobry wybór. Zagra pan tam koncert?

– Nie.

Staram się zachować spokój, ale rozgadany kierowca niczego nie ułatwia. Od jego paplaniny boli mnie głowa. Po raz kolejny zastanawiam się, po co to robię? Dlaczego chcę pożegnać człowieka, za którym nawet nie tęsknię? Chcę poczuć żal i smutek, lecz zamiast tego odczuwam nieważność. Wiele mnie kosztowało, żeby wymazać cały ten ból, jakiego mi przysporzył. Jedynym sposobem na przetrwanie tego gówna było odcięcie się. Zapomnienie. To nie w porządku, że kiedy już to zrobiłem, kiedy wyzbyłem się wszelkich uczuć, postanowił zejść z tego świata. To nie w porządku, że nawet na łożu śmierci oczekiwał mojej obecności. Nie miał prawa o nią prosić, a ja nie miałem obowiązku spełniać jego ostatniej woli.

A mimo to siedzę w taksówce. Mimo to włożyłem czarną koszulę i krawat. Mimo to w kieszeni moich garniturowych spodni mam srebrną pierścionkę wypełnioną po brzegi tym, co kochał najbardziej. Wódką. Mimo to odwołałem dwa koncerty i występ na żywo w telewizji. Może gdybym nie był jego synem, może wtedy udałoby mi się zatęsknić? Sąsiedzi zwykle mówili o nim dobrze. Chwalili jego pracę, a tę miał dość ciężką. Zajmował się wycinką drzew w okolicznych lasach, a po godzinach tworzył meble. Doceniali jego wysiłki, często płacili za ławkę lub stolik znacznie więcej, niż powinni. Nienawidziłem tego, bo wtedy za każdym razem szedł do sklepu, a gdy wracał do domu ledwo się trzymał na nogach.

Zaciskam zęby, wspomnienia są tak silne, że przenoszę się w czasie i znów jestem świadkiem jego pijackich prowokacji. Nienawidzę go każdą, nawet najmniejszą cząstką swojego ciała.

Opieram głowę o zagłówek. Według aplikacji do Skaneateles nie pozostało zbyt wiele drogi. Denerwuję się, choć wcale nie mam powodu. Ludzie umierają i nie ma w tym niczego nadzwyczajnego. To naturalna kolej rzeczy, a pogrzeb jest po to, aby zwłoki nie leżały w polu albo, co gorsza, nie były wrzucane do wody. Robi mi się niedobrze. Próbuję sobie przypomnieć jakieś przyjemne momenty, które razem dzieliliśmy, lecz pomimo moich starań nie jestem w stanie ich przywołać. Moje oziębłe serce ich nie pamięta.

– Niedługo będziemy na miejscu – mówi kierowca. – Lubię tutaj przyjeżdżać, bo prawie zawsze nie ma ruchu. Szkoda, że nie zagra pan koncertu.

Na samą myśl, że miałbym grać w Skaneateles, dostaję gęsiej skórki. Poprawiam się w fotelu i zerkam przez szybę. Niemal przez całą drogę nie zwracałem uwagi na to, co mijam, nie wydawało mi się to szczególnie interesujące. Jednak teraz, kiedy dostrzegam pomalowany na niebiesko drewniany znak drogowy „Witamy w Skaneateles”, nie jestem w stanie odwrócić wzroku. Nic się nie zmienił. Mimo tylu lat wciąż wygląda tak samo jak w dniu, kiedy wyjeżdżałem do Nowego Jorku.

Jedziemy główną ulicą, za oknem rozpościera się widok na piękną taflę jeziora i trawiasty brzeg. Mijamy cukiernię, która jest jednocześnie piekarnią. Kontynuujemy jazdę w stronę centrum i ze zdziwieniem odkrywam kilka nowych restauracji. Kuchnia toskańska, meksykańska i francuska. Dalej pizza u Mike’a, kwaciarnia, kilka sklepików z pamiątkami, pub Lakehouse, księgarnia, parę butików z odzieżą. Widzę wyremontowane budynki, równe chodniki i spore domy, na których powiewają

flagi narodowe. Spoglądam na drzewa, kwiaty w ozdobnych donicach i mewy siedzące na ulicznych latarniach. Przejeżdżamy obok aptek i banków, a potem pojawia się stary, kwadratowy budynek z neonowym napisem „U Sully’ego”. Wgapiam się w biały płatek oddzielający bar od reszty chodnika i niemalże czuję zapach smażonych ciasteczek krabowych, które niegdyś były tutaj specjalnością.

– Gdzie się zatrzymać?

– Na parkingu przed cmentarzem – odpowiadam oschle.

Kierowca jest zdziwiony, ale nie pyta mnie o nic więcej.

Zaciskam zęby. Czuję, że przyjazd tutaj okaże się błędem. Nie powinienem zostawiać zespołu ani odwoływać występów. Do cholery, ojciec nawet po śmierci nie daje mi wytchnienia.

Samochód wolno wtacza się na parking i zatrzymuje obok jakiegoś żółtego poobijanego sedana. Wciągam przez nos powietrze, a następnie wypuszczam je powoli ustami.

– Ile płacę? – Sięgam po portfel.

– Jazda na koszt firmy.

– Ile płacę?

– Nie wezmę od pana nawet centa.

Przewracam oczami, nie rozumiejąc jego zachowania. Chcę już coś powiedzieć, ale wówczas zauważam kondukt żałobny zmierzający w stronę bramy cmentarnej. Za księdzem i trumną idzie sporo osób. Czuję ścisk w żołądku, a piersiówka wetknięta w kieszeń niemal wypala dziurę w materiale moich spodni.

– Sporo ludzi – komentuje kierowca. – To na pewno była bardzo szanowana osoba. Musi być panu ciężko.

– Śmierć jest częścią naszego życia.

– No tak – wzdycha głęboko, a ja odpinam pas bezpieczeństwa i pochylam się lekko do przodu.

– Proszę powiedzieć żonie, że znalazł pan dwa miejsca na koncert w Nowym Jorku.

– Co? – Odwraca się gwałtownie w fotelu.

– Przy bramkach proszę podać hasło „dla Jane”. Ochroniarz przepuści was bez kontroli biletów. Będziecie oglądać występ zza kulis. Wszystko jasne?

– Ale jak to? – dziwi się.

– Do zobaczenia – rzucam, a potem wysiadam z auta.

Powietrze jest suche, moje ciemne ubrania przyciągają promienie słońca. Strużka potu zbiera się na moim czole, a następnie spływa wzdłuż szyi i wsiąka w kołnierzyk koszuli. Nerwowym ruchem rozluźniam krawat. Wystroilem się na ten pogrzeb. Nawet byłem u fryzjera, a wszystko po to, żeby zobaczyć, jak dobrze sobie radzę bez niego. Marszczę brwi, rozszłoszczony tym, że marnuję czas na rozmowy ze swoją głową, zamiast pójść na cmentarz i uczestniczyć w ceremonii. Taksówka odjeżdża. Zostaję sam. Rozglądam się wokół, tłumiąc pragnienie wykrzyczenia całemu światu, jak bardzo nienawidzę tego miejsca. Wsuwam dłoń głęboko w kieszeń i wydaję metalową piersiówkę. Nie znoszę tego, jak bardzo jestem do niego podobny. Nie cierpię tego, że płynie we mnie ta sama krew.

Odkręcam nakrętkę i wlewam alkohol do gardła. Wódka drażni mój przełyk, jest ciepła i ohydna. Mam ochotę zwymiotować, ale w ostatniej chwili udaje mi się powstrzymać mdłości. Gdy opróżnię piersiówkę, wyrzucam ją do pobliskiego kosza na śmieci i zaciskając zęby, ruszam energicznym krokiem w stronę cmentarza. Prawie biegnę, a nade mną ćwierkają ptaki. Kręci mi się w głowie, w piersi ciąży głaz. Nie wiem, jak się czuję. Jestem przygnębiony? Brakuje mi rzeczy, które nigdy nie istniały. Widzę w oddali czarną plamę złożoną z ludzkich głów i kończyn. Dlaczego wszyscy przyszli ubrani na czarno? To bez sensu. Ojciec nie był bohaterem, był fiutem. Nie zasługiwał na to przedstawienie. Zmienił moje życie w koszmar.

Im bliżej podchodzę, tym bardziej nachodzi mnie ochota, żeby opuścić cmentarz. Nie jestem mu niczego winien. Nigdy nie byłem i nigdy nie będę. To obrzydliwie egoistyczne, że wymógł na mnie obecność na swoim pogrzebie. Staję obok przygarbionej staruszki w czarnej spódnicy. Co kilka sekund pociąga nosem, a w drżących dłoniach trzyma wiązanek kwiatów. Robię parę kroków w przód, aż w końcu zupełnie nieświadomie docieram do szlochającej matki. Serce kurczy mi się na jej widok, lecz ból zostaje przysłonięty gniewem. Czarna sukienka niemal na niej wisi, jest przerażająco chuda i ma więcej zmarszczek niż wszystkie kobiety uczestniczące w tej maskaradzie razem wzięte. Pofarbowała włosy, ale na niewiele się to zdało. Czuję od niej kwaśną woń wina. Piła przed pogrzebem? *Jak ja*. Ta świadomość jeszcze bardziej napędza moją złość.

Wgapiam się w jasnobrązową trumnę i księdza, który sypie piachem na wieko. Nie mogę się skupić. Nie chcę tu być. Moja matka płacze, wspierając się o ramię młodej kobiety, która w ciszy przypatruje się trumnie.

Mam ochotę podejść do niej i zapytać, dlaczego roni łzy po kimś, kto nie miał do niej za grosz szacunku, ale zaraz uzmysławiam sobie, że była taka sama. I straciła kompana do chłania. Być może właśnie w tej chwili, kiedy spuszczano trumnę, zrozumiała, że jej dotychczasowe nieskomplikowane alkoholowe życie dobiegło końca? Przepełnia mnie gorycz i gdy już jestem gotów odejść, matka odwraca się w moją stronę. Jej przekrwione oczy patrzą na mnie z niedowierzaniem i nadzieją, a na bladej twarzy pojawia się delikatny uśmiech.

– Synu – szepcze, chcąc wzbudzić we mnie uczucia. Zupełnie jakby zapomniała, jak wielką krzywdę wyrządziła mojemu sercu.

Zaciskam zęby i próbuję zachować spokój. Denerwuje mnie zapach kwiatów, irytuje szlochanie. Wściekam się, ilekroć spoglądam na malowany portret ojca. Kto, u licha, chciał zrobić dla niego aż tak wiele?

– Tak się cieszę, że cię widzę. – Głos matki ocieka wzruszeniem.

Chciałbym powiedzieć to samo. Chciałbym się cieszyć, ale nie mogę. Nie umiem. Ona i ojciec zabili we mnie tę radość już dawno, dawno temu.

– Tata byłby z ciebie dumny, synku – ciągnie, ocierając łzy z policzka. – Wiedział, że go nie zawiedziesz.

Chciałem go zawieść.

– Jesteś pijana. – Nawet na nią nie patrzę. – Nie mogłaś się powstrzymać, prawda?

– Nie wypiałam dużo.

Nigdy nie wypijała dużo, ale zawsze to alkohol przez nią przemawiał. Wzbiera we mnie pogarda, której nie chcę okazywać. Nie teraz, kiedy jesteśmy w samym centrum uwagi.

– Synku. – Matka zaciska swoje palce na moim przedramieniu. Chłód bijący z jej skóry czuję nawet przez koszulę. – To dla nas trudny czas. Musimy się wspierać.

– Ludzie umierają, to nic nadzwyczajnego. – Wbijam wzrok w portret. – Ojciec nigdy się tak nie uśmiechał. Dlaczego pozwoliłaś przedstawić go jako zupełnie innego człowieka?

– Jesteś zdenerwowany.

– Wręcz przeciwnie. Mam to w dupie.

Widzę, że moja odpowiedź ją zabolowała. Jej szok powoli ustępuje cierpieniu. Matka unosi drżącą dłoń i zakrywa usta, ale i tak słyszę jej zawodzenie. Stara się mnie złamać, bo wie, jak bardzo w młodości nie lubiłem, kiedy płakała. Wykorzystuje moje słabe punkty, aby osiągnąć swój przebrzydły

cel. Trumna zniknęła, ksiądz także się gdzieś oddalił. Między nami pojawiają się pracownicy zakładu pogrzebowego odbierający wiązanki i znicze. Matka jest tak słaba, że musi się opierać na ramieniu młodej kobiety.

Wydaje mi się, że skądś ją kojarzę. Przyglądam się jej profilowi. Jest sporo niższa ode mnie, czarna sukienka w nienachalny sposób opina jej ciało, podkreślając wszystko to, co powinno być podkreślone. Ma smukłe nogi i ciemnoblond włosy sięgające do ramion. Gdy zaciągam się powietrzem, wydaje mi się, że wraz z duszącą wonią kwiatów i plastiku wciągamy zapach jej perfum. Są słodkie, odrobinę za słodkie. Stanowią zupełne przeciwieństwo smrodu, który otacza moją matkę.

Czy mnie zaintrygowała?

Z pewnością.

Czy zapytam, jak ma na imię?

Nie.

Absolutnie nie mam w planach pytać jej o imię. Ta dziewczyna nie wygląda na taką, która rozumie, na czym polega seks bez zobowiązań, a ja tylko tyle mógłbym jej dać. Nie szukam związków ani relacji podobnych do związku. Już lata temu przestałem wierzyć w miłość.

– Jak podróż? – Wracam spojrzeniem do matki. – Wracaleś z Fairmount.

– Skąd wiesz?

– Jakiś czas temu założyłam sobie Facebooka, aby być na bieżąco z twoimi koncertami.

– Nie zrobiłaś tego.

– No nie. – Uśmiecha się słabo. – Summer mi pomogła.

Summer.

Oddech zamiera mi w krtani, kiedy matka chwyta za rękę kobietę o ciemnoblond włosach. A moje serce, zbudzone z transu, zaczyna uderzać w piersi coraz mocniej i mocniej.

Summer.

Mam wyschnięte gardło na wiór i coś ściska mnie za mostkiem. To ona. Kobieta, którą chciałem przelecieć, to cholerna Summer Thompson. Krzyżujemy spojrzenia, a błękit jej oczu pochłania mnie w całości.

– Cześć – przełamuje milczenie pierwsza.

– Cześć. – Wsuwam dłonie głęboko w kieszenie spodni.

– Przykro mi z powodu taty.

– No – mamrocę pod nosem. – Dzięki.

Kiedy ostatni raz ją widziałem? To było siedem? A może osiem lat temu? Nie pamiętam. Zażenowany drapię się w kark i dyskretnie rozglądam po cmentarzu. Większość osób już odeszła i zostaliśmy tylko my. Nie wiem, co powiedzieć ani jak się zachować. Z nerwów zaczyna boleć mnie głowa.

– Pójdiesz ze mną do domu? – Matka kolejny raz stosuje wobec mnie swoje przebiegłe gierki. Robi mi się niedobrze na samo wspomnienie budynku, którego ściany przesiąkły wodą. To nie jest dom. Nigdy nim nie był.

– Nie.

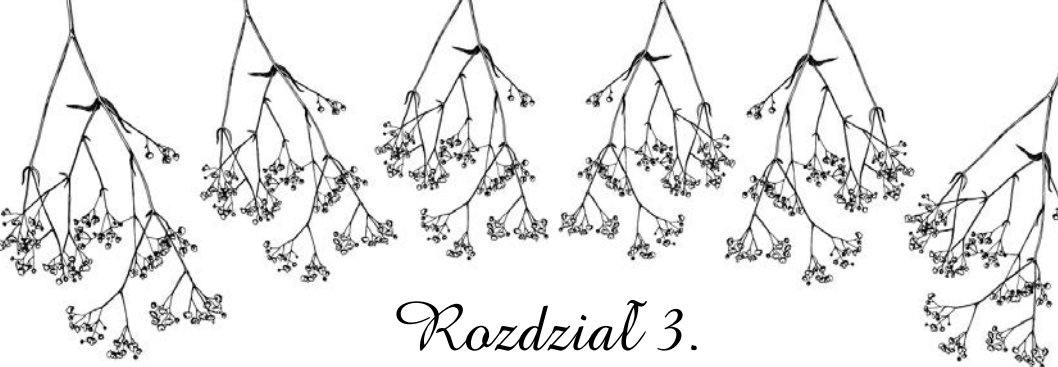
– Proszę, synu. Wróć ze mną do domu.

Nie proś mnie.

Nie proś mnie o to, żebym tam wrócił.

– Nie – powtarzam, tym razem bardziej stanowczo.

Matka patrzy z bólem na Summer. Myślę, że dziewczyna będzie chciała mnie nakłonić do zmiany decyzji, lecz ona milczy. Przytula do siebie moją drżącą rodzicielkę i mijają mnie bez słowa.



Rozdział 3.

Summer

Obecnie

Znajdujemy się w mieszkaniu pani Weston.

Panuje tu porządek. Kurze są starte, podłogi pomyte, a w powietrzu unosi się lekki, kwiatowy zapach. Mieszkanie w niczym nie przypomina tego, co zastałam kilka dni wcześniej. Jedynym mankamentem okazuje się pusta butelka po winie wepchnięta między doniczki z zielonymi roślinami. Najpewniej po to, żeby została niezauważona. Nie chcę oceniać, nie mam do tego żadnego prawa. Boli mnie serce, kiedy patrzę na tę staczającą się kobietę. Siedzę na starej kanapie i pozwalam jej się wypłakiwać na moim ramieniu. Trzęsie się z nerwów, więc delikatnie głaszczę ją po plecach.

– Nie chciał przyjść – szłocha. – Za co on mnie tak nienawidzi?

Moje oczy zachodzą wilgocią, gdy przypominam sobie wykrzywioną bólem przystojną twarz mężczyzny. Mężczyzny będącego niegdyś chłopcem, za którym szalałam. Gdy się odezwał, poczułam na skórze przyjemne mrowienie. Głos Huntera jest... głęboki, lekko zachrypnięty. Przywodzi na myśl mokre prześcieradła i całą masę niepoprawnych rzeczy, o których nie powinnam teraz myśleć.

Szlag.

Jego widok sprawił, że moje serce prawie wyrwało się z piersi. Wyglądał zabójczo, choć przez całą ceremonię stał spięty z rękoma w kieszeni. Nie wiedziałam, co zrobić. W pierwszym odruchu chciałam podejść, ale zdołałam się powstrzymać. To przecież byłoby głupie. Nie byliśmy przyjaciółmi, którzy spotykają się po latach. Cholera, czym my właściwie

byliśmy? Zastanawiałam się nad tym, ukradkiem wpatrując w jego czarną koszulę. Rajciu, byłam przekonana, że niedawna sesja zdjęciowa do magazynu „Rolling Stone” zmieniła Huntera w boga seksu. I nie mówię tego dlatego, że śliniłam się do ekranu, kiedy nikt nie patrzył. Absolutnie nie. Co nie znaczy, że nie posiadam tajemniczego folderu z jego wspaniałymi fotkami, które ściągałam z Pinteresta.

Okej, dobra. Podoba mi się. Zresztą podobnie jak całej reszcie kobiecej populacji. Hunter przyciąga swoją szorstkością, tym ochrypniętym głosem i spranym szkockim akcentem. Ma w sobie coś cholernie magnetyzującego, mimo że... Powiedzmy sobie to szczerze – jest gnojkiem. Jest tak wielkim gnojkiem, że podczas wywiadu dla „Billboard” pokazał środkowy palec, spoglądając wprost w kamerę, i powiedział, żeby ludzie nie oglądali tego gówna. Tak, Hunter ma wysokie mniemanie o sobie, ale... ma też do tego prawo. To niezwykle uzdolniony człowiek, który zanim zaczął być światową gwiazdą rocka, wygrywał zawody w rąbaniu drewna na czas. Zdobywał też pierwsze miejsca w konkursach recytatorskich, zawsze wyjeżdżał jako zawodnik na sportowe młodzieżowe igrzyska międzyszkolne. Udawało mu się tak cholernie wiele rzeczy, że naprawdę nikogo nie zdziwiło, kiedy nagle pojawił się na liście najlepiej zarabiających artystów.

Wzdycham głęboko, bo kiedy myślę o jego sławie, to natychmiast przypominam sobie liczne romanse, w które był zaangażowany. Oczywiście nie wybierał byle kogo. Zawsze musiały to być aktorki, piosenkarki, modelki... Hunter ma swój typ. To upiornie chuda blondynka z napompowanymi ustami. Według wszystkich doniesień z social mediów niedawno zakończył związek z Samanthą Black. Swoją drogą nie lubiłam jej, więc dobrze, że znów stał się singlem. Kurczę, chyba nie powinnam myśleć w ten sposób.

– Niewdzięczny – buczy pani Weston pod nosem, a potem ociężale podnosi się z miejsca. – Jak mógł mi to zrobić? Zastrany rockman.

Alkoholizm jest straszną chorobą. To właśnie dlatego miała problemy z mową, drżeniem rąk i wybuchami złości. Nie kontrolowała siebie ani swoich emocji. Dlatego musiałam jej pomóc. Gdy całe miasteczko postanowiło się od niej odciąć, ja wyciągnęłam ku niej swoją rękę. Opiekowałam się nią, dbałam o nią. Starałam się przekonać do leczenia. Poświęcałam swój czas i energię, lecz nie zawsze było to doceniane. Pani Weston czasami wpadała w szał. Rzucała przedmiotami, krzyczała, wyzywała mnie

od najgorszych i żądała, żebym przestała się panoszyć w jej domu. Wtedy odpuszczałam. Wychodziłam. Zostawiałam ją i jej schorowanego męża. Dawałam czas na przemyślenie.

Skupiałam się też na innych sprawach. Myślałam o tym, czy uda mi się pozyskać dofinansowanie. Złożyłam papiery kilka miesięcy temu, a wciąż nie było decyzji. Zależało mi na stworzeniu azylu dla poszkodowanych zwierząt. Byłam weterynarzem, a to dawało mi wiele możliwości. Martwiłam się, że moje marzenia pozostaną tylko tabelkami na papierze.

– To jego dom. Jak może się tak zachowywać? Jak mógł mi to zrobić?

– Każdy inaczej przeżywa stratę bliskiej osoby – mówię spokojnym tonem.

– Co za bzdury. Sądzisz, że jakkolwiek odczuł tę tragedię?

Tak. Tak sądzę.

– Napije się pani herbaty?

– Wolabym coś mocniejszego.

– Pani Weston.

– Potrzebuję ukoić swoje skołatane nerwy. Nie masz pojęcia, jak to jest. Tobie życie nie rzuca kłód pod nogi. Wszystko ci się udaje. Spełniasz wszystkie marzenia, a ja? Chciałam, żeby Pat wyzdrowiał. Chciałam, żeby pokonał tę cholerną chorobę. I co? I dziś go pochowałam.

– Jest mi bardzo przykro, ale alkohol nie sprawi, że poczuje się pani lepiej.

– Wiesz co? Może idź wciskać te żalosne teksty swoim przybłędom, dobra?

Spoglądałam na nią surowym wzrokiem.

– W ten sposób ma pani zamiar mnie traktować? – pytam, wstając z kanapy.

Krzyżuję ramiona na piersi i podchodzę do okna. Pucowałam te cholerne szyby dwie godziny, żeby mogła popatrzeć przez nie na ogródek, który też dla niej wypieliliłam. Nie podoba mi się jej zachowanie, ale nie potrafię odwrócić się od kogoś, kto tak rozpaczliwie potrzebuje pomocy. Nawet jeśli przy tym kłapie zębami. Najagresywniejsze osoby ukrywały najmroczniejszą przeszłość. Tej smutnej prawdy nauczyłam się podczas pracy w fundacji ratującej zaniedbane psiaki.

– Nie przesadzaj – prychna pod nosem, jakby rzeczywiście nic złego się nie wydarzyło.

– Wdzięczność. – Mój ton jest spokojny, ale nieco oschły. – Zająłłam się panią i pani mężem, kiedy zdiagnozowano u niego marskość wątroby. Zawiozłam go do szpitala, gotowałam dla pani obiady. Sprzątałam w pani mieszkaniu, kosiłam trawę w pani ogrodzie. Zorganizowałam pogrzeb i w zamian dostaję w twarz.

– No przecież cię nie uderzyłam. Dlaczego tak histeryzujesz? – Pani Weston nerwowo drapie obicie kanapy. – W zamrażarce mam lody. Zjesz sobie?

– Nie, dziękuję. Poza tym... słowa.

– Co?

– Słowa potrafią zaboлеć mocniej niż policzek.

– Jestem zmęczona. Położę się na chwilę.

Kładzie się na kanapie i zagarnia poduszkę pod głowę. Staram się wyłączyć emocje, ale jak zwykle nie daję rady. Empatia jest zarówno moim błogosławieństwem, pojak i przekleństwem.

Zamykam za sobą drzwi i ruszam popękaną kostką brukową w stronę zielonej furtki. Nadal jest ciepło, pogoda nie uległa zmianie, choć prognozy sugerowały opady deszczu. Moje włosy rozwiewa delikatny wietrzyk, więc unoszę dłoń, aby ujarzmić szalejące kosmyki. Dom pani Weston znajduje się u zbiegu Griffin i Hannum Street. Jest wzorowany na starym budownictwie, co prawda z większości ścian odpadł tynk, ale trzyma się dzielnie. Być może nieco pomógł mu bluszcz, który zasadziłam, aby nieco podreperować wizerunek budynku. Prawdę mówiąc, robię, co mogę, by pomóc. Nie znoszę bycia biernym obserwatorem czyjejs niedoli.

Jesteś naiwna, córeczko. Ludzie będą wykorzystywać twoje dobre serce.

Mama miała rację. Jestem naiwna, ale wolę to niż szerzenie nienawiści, której na świecie i tak jest zdecydowanie zbyt wiele. Jeśli mogę swoją naiwnością odmienić los upodlonych zwierząt i samotnych, nieszczęśliwych ludzi, to w porządku.

Zmierzam Genesee Street, na drodze jest umiarkowany ruch, ale połowa tych pędzących aut to turyści. Wracam na cmentarz, aby zabrać portret, który namalowałam. Chcę go podarować pani Weston, choć nie spodziewam się docenienia mojego gestu. Spędziłam nad nim ponad trzy godziny i wołałabym, żeby zdobił ścianę, niż niszczał rzucony na wieńce z kwiatów. Mijam parking, gdzie rankiem zostawiłam auto. Po pogrzebie

uznałam, że pani Weston przyda się spacer, więc wybrałyśmy się do jej domu na piechotę.

W wozie musi być potwornie gorąco. Nie zamieniłabym mojego wehikułu na żaden inny, choć ma niesprawną klimatyzację, a fotele posiadają welurową tapicerkę. Wiąże się z nim zbyt wiele wspomnień. Dostałam samochód w spadku po babci i za każdym razem, gdy siadałam za wytartą kierownicę, przypominałam sobie uśmiechniętą pulchną staruszkę ze spojrzeniem anioła.

Od bramy cmentarza dzieli mnie zaledwie kilka metrów, kiedy nagle dostrzegam swój obraz w rękach idącego z naprzeciwka mężczyzny. Zatrzymuję się jak wryta i po kilkusekundowej obserwacji dochodzę do wniosku, że to Hunter. Marszczę brwi, niezadowolona z tego, w jaki sposób niesie portret. Zupełnie jakby miał do czynienia z workiem ziemniaków, a nie z pracą. Moją pracą.

– Hej! – Zastępuję mu drogę.

Jego postawa zdradza, jak bardzo jest spięty. Na symetrycznej twarzy pokrytej kilkuniedniowym ciemnym zarostem maluje się niepokój. Zawsze był tajemniczy, lecz teraz otaczający go mrok zdaje się wodzić na pokuszenie. Jest jak wąż, który nakłania do zjedzenia zakazanego owocu. Wiem, że nie mogę się zachwycać jego bólem, ale to właśnie on nadaje mężczyźnie charakter i piękno. Tak, Hunter Weston jest przepięknym człowiekiem. Nawet jeśli trochę pogubionym i zgryźliwym.

– Co chcesz z tym zrobić? – Wskazuję na obraz.

– Wyrzucić – odpowiada bez wahania, po czym mruży oczy i koryguje: – Najpierw zniszczyć, potem wyrzucić.

– Albo możesz go po prostu oddać mnie. – Wbijam wzrok w jego ciemnobrazowe oczy. A może czarne? Kiedyś wydawało mi się, że są czarne.

– Po co?

– Po to, żebyśmy mogła podarować go twojej mamie.

– Oszalałaś – kwituje krótko. – Koniec z tym gównem.

– To „gówno” jest efektem mojej trzygodzinnej ciężkiej pracy – złoszczę się. Nawet sławny muzyk nie będzie zrównywał z ziemią moich obrazów.

Z satysfakcją patrzę, jak brwi Huntera unoszą się pod linię włosów w niemych geście zdumienia.

– Ty to namalowałaś?

– Tak. A teraz bardzo proszę, oddaj mi go.

– Dlaczego to zrobiłaś?

Dlaczego, dlaczego, dlaczego. Wciąż te same pytania. Moi rodzice wciąż je powtarzali. Dlaczego spotykam się z panią Weston, dlaczego nie znajduję sobie lepszej pracy, tylko urabiam się po łokcie w azylu, dlaczego nie umówię się na randkę z Lewisem. Uch!

– Bo chciałam.

– Chciałaś namalować portret mojego ojca? Wybacz, to dla mnie zupełnie niezrozumiałe. Zresztą przedstawiłaś go jako uśmiechniętego i wesołego, co nijak nie pasuje do ochlapusa, jakim był za życia.

– Nie mówi się źle o zmarłych.

– Dlatego powiedziałem prawdę.

– Naprawdę go nie lubiłaś, co?

– Ani trochę.

Spoglądam na obraz, który ściska w swoich wielgachnych dłoniach. Istnieje spore prawdopodobieństwo, że lada chwila go uszkodzi.

– To cholernie zabawne – mówi wpatrzony gdzieś w horyzont. – Wszyscy przyszli pożegnać człowieka, którego nawet nie znali.

– Patrick Weston był znany w naszym miasteczku – przypominam łagodnie. – W większości mieszkań znajdziesz jego meble. Czy mógłbyś oddać mi obraz?

– Nie.

– Nie?

– Ile za niego chcesz? – Wpatruje się z nienawiścią w portret. – Chcę go kupić.

– Nie jest na sprzedaż.

Hunter nie wygląda na zadowolonego z mojej odpowiedzi. Patrzymy sobie w oczy, jakbyśmy toczyli ze sobą jakąś walkę. Nie odpuszczam. Powtarzam, że nie jest na sprzedaż, i ponawiam prośbę, żeby mi go oddał, ale on zamiast tego jeszcze bardziej zaciska palce, niemal dziurawiąc płótno.

– Zniszcz go – mówi spokojnym tonem. – Zniszcz go, a ja ci za to zapłacę. Podaj cenę.

– Dlaczego tak bardzo ci na tym zależy?

– A tobie? Dlaczego zależy? – Spokojne nuty w jego głosie ulegają zmianie. Wyczuwam w nim zdenerwowanie. – Sprzedaj mi ten obraz albo go zniszcz. Zapewniam cię, że moja matka nie ucieszy się z tego prezentu, więc daruj sobie, okej?

Daruj sobie?

Patrę, jak chwyta obraz jedną ręką, a drugą wsuwa w kieszeń eleganczy, ciemnych spodni i wyjmuję paczkę papierosów. Serce prawie wrywa mi się z piersi, gdy rozpoznaję czerwone marlboro. Pamiętam, że dawniej też je palił. Cóż, najwidoczniej nie wszystko się zmieniło. Nie wiem czemu, ale ta myśl napełnia mnie przedziwnym ciepłem. Pewnie po prostu jestem zmęczona.

– Słuchaj. – Podpieram się pod boki. – Może dla ciebie to nic nie znaczy, ale nie masz prawa wypowiadać się w imieniu swojej matki. Ta kobieta dziś pochowała swojego męża, człowieka, z którym przeżyła połowę życia. Wsadź sobie w nos swoją nienawiść i pozwól jej poczuć choć namiastkę jego obecności. To dla niej ważne. Każdy po stracie bliskiej osoby potrzebuje... – przerywam i ostrym wzrokiem wgapiam się w mężczyznę, który bardziej niż moimi słowami zainteresowany jest... puszczeniem siwych obłoczków z ust. – Rozumiem, że jesteś wstrząśnięty...

– Nie, nie rozumiesz – stwierdza szybko. – Zachowujesz się dokładnie tak samo jak oni, więc nie rozumiesz. Nie jesteś nawet o krok od zrozumienia.

– Wow. – Kręcę głową. – Wiesz, że zupełnie inaczej wyobrażałam sobie nasze spotkanie? Twoja matka wspominała, że się pojawisz. Czekałam na ciebie, ale teraz nie jestem pewna dlaczego. Po co oczekiwałam spotkania z kimś, kto jest tak samolubny, że nie chce podarować własnej matce obrazu z podobizną jej zmarłego męża, by ukoić jej ból?

– Ukoić ból! – parska.

– Tak, ból – wkurzam się. – Co ci się stało?

Hunter gasi papierosa pod podeszwą lśniących, czarnych butów i robi krok w moją stronę. Góruje nade mną w niemożliwie przytłaczający sposób. Nie mam pojęcia, jakie ma wobec mnie zamiary, ale te czarne jak otchłań oczy wcale nie sugerują niczego przyjemnego. Stoimy tak blisko siebie, że czuję jego gorący, nikotynowy oddech na swoich ustach.

– Chcesz wiedzieć, co mi się stało, Summer? – pyta niskim, głębokim głosem, od którego dostaję gęsiej skórki.

Z nerwów boli mnie żołądek. Czy chcę usłyszeć to, co ma do powiedzenia? Czemu nagle mam wrażenie, że jeśli się dowiem, to natychmiast tego pożałuję?

– Tak jak sądziłem. – Przez kilka sekund dostrzegam w jego spojrzeniu żal. Już chcę coś powiedzieć, kiedy dodaje: – Sprzedasz mi ten obraz. – To nie jest pytanie, to... na Boga, czy właśnie wydał mi polecenie?!

Mam ochotę tupać ze złości i kazać mu się wypchać. Biorę oddech, czując, jak wszystko we mnie kipi z wściekłości. Nie powinien tego robić, ale, u licha, czuję, że przegram.

– Sto dolarów – podaję zawyżoną cenę, a usta mężczyzny unoszą się w delikatnym uśmiechu. Bez słowa wsuwa dłoń w kieszeń, wyciąga portfel i podaje mi banknot. – Wpłać to na jakąś fundację – warczę, odsuwając się od niego.

Muszę odejść. Muszę jak najszybciej odejść, bo nie chcę, żeby zobaczył, jak bardzo zranił mnie swoim zachowaniem.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

Powrót dawnej przyjaźni, a może to... miłość?

Summer i Hunter byli parą wiernych przyjaciół. Wszystko zaczęło się banalnie – Hunter, o kilka lat starszy od Summer, niczym król w białym koniu, wyratował dziesięciolatkę z opresji. Odtąd byli nierozłączni. Pełna energii, wrażliwości i optymizmu dziewczyna i przytłoczony przez życie ponury chłopak.

Trwali w przyjaźni, aż on wyjechał. Zniknął na siedem długich lat, a kiedy ponownie przyjechał do rodzinnego miasteczka, nie był już tym samym chłopakiem, tylko dorosłym mężczyzną. Wracał jako światowej sławy muzyk, kochany przez fanów. Niestety, mimo sukcesu, jaki odniósł, Hunter nie uwolnił się od dręczącego go smutku. Wbrew sławie i zainteresowaniu, które mu towarzyszy, jego życie wydaje się przynębiająco puste.

Czy Summer uda się rozproszyć spowijającą duszę Huntera ciemność?

Czy przyjaźń powróci, niepomna na lata rozłąki?

**Czy Summer i Hunter, dawniej nierozłączni, dostrzegą uczucie,
które rodzi się w ich sercach?**

Patroni medialni:



© CUTE
©© SENSUAL
©©© SPICY
©©©© DARK

**editio
red**
EDITIO.PL

ebook dostępny na:
ebookpoint

ISBN 978-83-289-1675-3

